

To surowa, fascynująca i niezaprzeczalnie prawdziwa książka. W swoim oszałamiającym debiucie, w którym odważnie mierzy się z zagadnieniem stosunków międzyrasowych w Ameryce, Nic Stone dołącza do tytanów tego trudnego tematu, takich jak Jason Reynolds i Walter Dean Myers.

Justyce McAllister jest jednym z najlepszych uczniów w roczniku i planuje studia na renomowanym uniwersytecie – ale dla policjanta, który właśnie zakuł go w kajdanki, nie ma to żadnego znaczenia.

Choć Justyce opuścił niebezpieczną dzielnicę, w której się wychował, nie może uciec od szyderstw dawnych kolegów i drwin uczniów z nowej szkoły. Pomocy szuka w naukach Martina Luthera Kinga. Ale czy są wciąż aktualne? Żeby się przekonać, Justyce zaczyna pisać do niego listy.

Pewnego dnia wybiera się na przejażdżkę ze swoim najlepszym przyjacielem Mannym. Opuszczają szyby, podkręcają muzykę... na tyle głośno, że wywołują furję u jadącego obok białego gliniarza po służbie. Padają mocne słowa...

Tytuł oryginału
Dear Martin
Copyright © 2017 by Nic Stone
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-750-7

NIC STONE

**DROGI
MARTINIE**

**TŁUMACZENIE:
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2018

Dla K. i M.

Bądźcie najlepszymi wersjami siebie.

Oraz

dla pana Caseya Weeksa.

Proszę to uznać za spłatę długu.

WIERZĘ, ŻE OSTATNIE SŁOWO
BĘDZIE NALEŻAŁO DO NIEUZBROJONEJ
PRAWDY I BEZWARUNKOWEJ MIŁOŚCI.

WIELEBNY DOKTOR MARTIN LUTHER KING JUNIOR
PRZEMÓWIENIE Z OKAZJI PRZYJĘCIA POKOJOWEJ
NAGRODY NOBLA, 10 GRUDNIA 1964 ROKU.

CZEŚĆ
PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Justyce widzi ją z miejsca, w którym stoi po drugiej stronie ulicy: oto Melo Tayler, jego była dziewczyna, leży na wilgotnym betonowym parkingu przed Farm Fresh, a obok błyszczą jej merc. Zgubiła gdzieś jeden but, a zawartość torebki rozsypała się niczym konfetti po zakończonej imprezie. Jus wie, że jest kompletnie nawalona i że tym razem przesadziła, nawet jak na nią.

Kręci głową. Przypomina sobie surowy wyraz twarzy swojego najlepszego przyjaciela Manny'ego, od którego wyszedł niecały kwadrans temu.

Zapala się zielone światło.

Gdy podchodzi, dziewczyna otwiera szeroko oczy. Jus wyjmuje z uszu słuchawki, akurat by usłyszeć:

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Obserwując, jak – bez powodzenia – próbuje podnieść się na kolana, Jus zadaje sobie to samo pytanie. Melo zatacza się w bok i uderza twarzą w drzwi samochodu.

Justyce przykłęka i wyciąga dłoń w stronę jej zaczerwienionego niczym żarówista karoseria auta policzka.

– Kurde, Melo, nic ci nie jest?

Odpycha jego dłoń.

– A co cię to obchodzi?

Dotknięty Justyce bierze głęboki oddech. Bardzo go obchodzi. Oczywiście, że tak. Gdyby go nie obchodziło, to nie szedłby ponad kilometr z domu Manny'ego o trzeciej nad ranem (Manny uważa, że Melo to „najgorsza rzecz, jaka

kiedykolwiek spotkała Jusa”, więc oczywiście nie podwiózł kumpla). A wszystko po to, by nie pozwolić swojej naprutej do granic nieprzytomności byłej wsiąść za kółko.

Powinien natychmiast odejść w swoją stronę, naprawdę powinien.

Ale zostaje.

– Jessa dzwoniła – wyjaśnia.

– Zdzira...

– Nie mów tak, mała. Zadzwoiła do mnie, bo się o ciebie martwi.

Jessa zamierzała odwieźć Melo do domu, ale ta zagroziła, że jeżeli nie wysadzi jej przy samochodzie, to zadzwoni po gliny i zgłosi uprowadzenie.

Po pijaku Melo potrafi dramatyzować.

– Zupełnie jej nie rozumiem – oświadcza (zgodnie z prawdą). – W życiu i w sieci. Wścibska suka.

Justyce ponownie kręci głową.

– Przyszedłem, aby się upewnić, że dotrzesz bezpiecznie do domu. – W tym momencie uderzyło go, że o ile może udać mu się odtransportować Melo na miejsce, o tyle nie ma pojęcia, jak stamtąd wróci. Zamyka oczy, a w jego umyśle przesuwają się słowa Manny’ego: *Będziesz miał kłopoty przez to ratowanie dam z opresji, stary.*

Spogląda na nią. Na wpeł przytomna Melo siedzi z głową opartą o drzwi samochodu, ma lekko otwarte usta.

Zaczyna się kiwać na boki, więc Justyce chwyta ją za ramię, żeby znowu nie upadła na beton. Spogląda na niego zaskoczona szeroko otwartymi oczami, a Jus ponownie zauważa to, co przykuło jego uwagę na samym początku. Ojciec Melo to obrońca z Galerii Sław NFL (wieeeeeelki czarny koleś), ale jej mama pochodzi z Norwegii. Odziedziczyła po niej mleczną skandynawską karnację, falowane wło-

sy barwy miodu oraz niesamowite zielone oczy, które na krawędziach powiek przybierają jakby fioletowy kolor. Natomiast ma również pełne wargi, wąską talię, cudownie krągłe biodra i prawdopodobnie najzgrabniejszy tyłek, jaki Jus kiedykolwiek widział.

Między innymi na tym polega jego problem: nazbyt oszałamia go jej uroda. Nigdy nawet nie marzył, że spodobą się tak pięknej dziewczynie.

Ma ochotę ją pocałować – pomimo jej zaczerwienionych oczu, skołtunionych włosów oraz tego, że śmierdzi mieszaniną wódki, papierosów i zioła. Lecz gdy chce odgarnąć włosy z jej twarzy, ona znowu odpycha jego dłoń.

– Nie dotykaj mnie, Justyce.

Zaczyna przekładać swoje rozrzucone na betonie rzeczy – szminkę, chusteczki, tampony, jedno z tych okrągłych puzderek z pudrem i lusterkim, piersiówkę.

– Hm, gdzie moje kluczyyyyyyki?

Justyce dostrzega je obok tylnej opony i pośpiesznie podnosi.

– Nie będziesz prowadziła, Melo.

– Oddawaj. – Próbuje wyrwać mu kluczyki, ale traci równowagę i wpada w jego ramiona.

Justyce opiera ją o karoserię i zbiera resztę jej rzeczy do torebki – która spokojnie mogłaby pomieścić tygodniowe zakupy spożywcze (po co dziewczynom torebki wielkości plecaków wojskowych?). Otwiera samochód, rzuca torbę do tyłu i próbuje podnieść Melo z ziemi.

I wtedy wszystko toczy się naprawdę fatalnie i naprawdę szybko.

Najpierw Melo obrzyguje mu całą bluzę.

Która należy do Manny’ego. Który z kolei wyraźnie ostrzegł: „Nie pokazuj mi się na oczy z obrzyganą bluzą”.

Doskonale.

Jus zdejmuje ją i również rzuca na tylne siedzenie.

Gdy ponownie próbuje podnieść Melo, ta wymierza mu policzek. Soczysty.

– Zostaw mnie *w spokoju*, Justyce – mówi.

– Nie mogę, Mel. Jeżeli choć spróbujesz prowadzić sama, to nie dotrzesz do domu.

Stara się ją podnieść, wsadzając ręce pod jej pachy, a ona pluje mu w twarz.

Zastanawia się, czy nie odejść. Mógłby po prostu zabrać kluczyki, zadzwonić do jej rodziców i się ulotnić. Oak Ridge to prawdopodobnie *najbezpieczniejsza* dzielnica Atlanty. Pan Taylor byłby tu za dwadzieścia pięć minut, w tym czasie nic by się jej nie stało.

Ale nie potrafi. Pomimo kategorycznych twierdzeń Manny'ego, że Melo powinna „choć raz odczuć konsekwencje na własnej skórze”, zostawienie jej samej, bezbronnej wydaje się niewłaściwe. Podnosi ją więc i przerzuca sobie przez ramię.

Melo reaguje z wrodzoną sobie subtelnością: zaczyna się wydzierać i grzmocić go pięściami w plecy.

Justyce z mozołem próbuje otworzyć tylne drzwi i schylić się, aby wsadzić ją do środka, gdy słyszy za plecami krótkie ŁIIIJ i widzi niebieskie światło policyjnej syreny. Kilka sekund później radiowóz ostro hamuje tuż obok. Justyce kładzie Melo na siedzeniu.

Jego była wpada w szal.

Jus słyszy zbliżające się kroki, ale nadal koncentruje się na ułożeniu jej w aucie. Nie chce, by policjantom przyszło do głowy, że zamierzała prowadzić, nie chce, by wpadła w jeszcze większe tarapaty.

Z głową wciąż w samochodzie czuje, że ktoś mocno ciągnie go za koszulę. Uderza potylicą w kant karoserii nad drzwiami, po czym na jego kark spada czyjaś dłoń. Chwilę później zostaje przygnieciony do bagażnika z takim impetem, że przygryza sobie policzek i jego usta wypełniają się krwią.

Przełyka ślinę, kręci mu się w głowie, nie wie, co się dzieje. Do rzeczywistości przywraca go ukąszenie zimnego metalu na nadgarstkach.

Kajdanki.

Uderzyła go ironia sytuacji: nawalona ponad wszelkie wyobrażenie Melo leży sobie na tylnym siedzeniu samochodu, który jeszcze przed chwilą chciała prowadzić, a to on został skuty.

Gliniarz przyszpila go do ziemi obok radiowozu i pyta, czy rozumie swoje prawa. Justyce nie przypomina sobie, żeby jakiegokolwiek mu odczytano, ale w głowie dzwoni mu od ciosów w głowę, więc może coś przeoczył. Przełyka kolejną porcję krwi.

– Panie władzo, to kolosalne nieporozumienie... – zaczyna, ale nie kończy, bo policjant uderza go w twarz.

– Nie pieprz, sukinsynu. Już gdy zauważyłem cię, jak idziesz chodnikiem w tym kapturze na łbie, wiedziałem, że będą z tobą problemy, śmieciu.

Czyli kaptur to jednak niefortunny pomysł. Słuchawki też. Gdyby nie one, pewnie zauważyłby, że ma radiowóz na ogonie.

– Ale, panie władzo, ja...

– *Zamknij się.* – Gliniarz kuca i cedzi słowa wprost w twarz Justyce'a: – Znam takich jak ty: śmieci krążących po ulicach porządnym dzielnic w poszukiwaniu ofiary. Nie mogłeś się oprzeć ładnej białej dziewczynie, która zatrzasnęła sobie kluczyki w samochodzie, prawda?

Nie było w tym zbyt wiele sensu. Gdyby Mel zatrzaśnięła sobie kluczyki w aucie, to przecież Jus nie mógłby wsadzić jej do środka, czyż nie? Wyszukał wzrokiem plakietkę z nazwiskiem funkcjonariusza, jest na niej napisane: CASTILLO, choć gość wygląda na najzwyczajniejszego białego. Mama tłumaczyła mu, jak radzić sobie w podobnych sytuacjach, choć musi przyznać, że nie spodziewał się, że przyjdzie mu skorzystać z jej pouczeń: *bądź pełen szacunku, powściągnij gniew, upewnij się, że policjant widzi twoje ręce* (to akurat jest już niewykonalne).

– Funkcjonariuszu Castillo, z całym szacunkiem...

– Mówiłem chyba, żebyś zamknął mordę, śmieciu!

Szkoda, że z poziomu ziemi nie widzi Melo. Powiedziałby jej, żeby wyjaśniła tę sytuację, ale zasłania ją gliniarz.

– Słuchaj, dla własnego dobra ani słowa i ani drgnij. Jeżeli będziesz się opierał, wpadniesz w jeszcze większe gówno. Zrozumiano?

Twarz Justyce'a spowija papierosowy oddech oraz drobinki śliny wyszczekującego polecenia policjanta, ale nie reaguje i wlepia wzrok w świecące zielone F w szyldzie Farm Fresh.

– Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię, chłopcze. – Łapie Justyce'a pod brodę. – Zadałem ci pytanie.

Justyce przełyka ślinę. Spogląda w zimne niebieskie oczy funkcjonariusza Castillo. Odchrząkuje.

– Tak, proszę pana – mówi. – Zrozumiałem.

25 sierpnia

DROGI MARTINIE (VEL DR. KINGU)!

Po pierwsze i przede wszystkim chciałem zaznaczyć, że ten cały „Martin” nie wynika z braku szacunku. W dziesiętej klasie uczyłem się o tobie i twoich teoriach, więc traktowanie cię jak ziomka wydaje mi się jak najbardziej naturalne. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Krótki wstęp: nazywam się Justyce McAllister. Mam siedemnaście lat, chodzę do ostatniej klasy i posiadam pełne stypendium w Braselton Preparatory Academy w Atlancie, w stanie Georgia. Zajmuję czwartą lokatę w liczącym osiemdziesięcioro troje osoby roczniku, jestem przewodniczącym zespołu dyskusyjnego, na egzaminach SAT oraz ACT¹ odnotowałem, odpowiednio, 1560 oraz 34 punkty i choć dorastałem w „złej” okolicy (położonej blisko twoich ulubionych kątów), mam przed sobą przyszłość obejmującą prawdopodobnie naukę w jednej z uczelni Ligii Bluszczowej, dyplom z prawa oraz karierę w polityce.

Niestety dzisiaj nad ranem wszystko to nie miało znaczenia.

Mówiąc krótko - chciałem zrobić dobry uczynek, a skończyłem skuty na glebie. I na przekór faktowi, że moja eksdziewczyna była ewidentnie nawalona jak, za przeproszeniem, proszę, musiałem wyglądać w mojej bluzie z kapturem bardzo groźnie, gdyż gliniarz, który mnie skuł, wezwał wsparcie.

Spodziewałem się, że kiedy na miejsce dotrą jej rodzice, wszystko natychmiast się wyjaśni, najdziwniejsze

¹ SAT (Scholastic Assessment Test) oraz ACT (American College Testing) – standaryzowane testy dla uczniów szkół średnich w USA (przyp. tłum.).

jest jednak to, że pomimo ich tłumaczeń ci goście nadal nie chcieli mnie wypuścić. Pan Taylor zaproponował, że zadzwoni do mojej mamy, ale gliniarze stwierdzili, że skoro mam siedemnaście lat, to będę traktowany jak dorosły - mama mi więc nie pomoże.

Koniec końców pan Taylor zadzwonił do mamy mojej kumpeli SJ, pani Friedman - prawniczki - która musiała rzucić gliniarzom w twarz wiązankę prawniczych gróźb, zanim łaskawie zdjęli mi kajdanki. A zanim w końcu mnie wypuścili, zdążyło wzejść słońce.

Trwało to kilka godzin, Martinie.

Odwożąc mnie do akademika, pani F. nie mówiła zbyt wiele, ale kazała mi obiecać, że pójdę do naszej pielęgniarki i obłożę lodem spuchnięte nadgarstki. Zadzwoniłem do mamy, by opowiedzieć jej, co się stało. Oznajmiła, że natychmiast złoży skargę. Ale nie sądzę, by wynikało z tego coś dobrego.

Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Nigdy nie sądziłem, że znajdę się w takiej sytuacji. Pamiętam tego dzieciaka, Shemara Carsona... Czarne gościa w moim wieku, zastrzelonego w czerwcu w Newadzie przez białego gliniarza. Szczegóły nie są do końca jasne, bo nie znaleźli się żadni świadkowie zajścia, wiadomo natomiast tyle, że ten policjant strzelił do nieuzbrojonego dzieciaka. Czterokrotnie. Co jeszcze bardziej podejrzane, według lekarzy od szacowanego momentu zgonu do zgłoszenia sprawy przez policjanta upłynęły dwie godziny.

Przed Incydentem z minionej nocy nie poświęcałem temu wydarzeniu zbyt wiele uwagi. Pojawiła się masa sprzecznych informacji, więc nie wiadomo, w co wierzyć. Krewni i przyjaciele Shemara mówią, że był porządnym chłopakiem, planował iść do college'u, działał aktywnie

w grupach młodzieżowych... Z kolei gliniarz zapewnia, że usiłował ukraść samochód. Doszło do szamotaniny (rzekomo) i - według raportu policyjnego - Shemar chciał wyrwać policjantowi pistolet, więc ten strzelił do niego w samoobronie.

Sam nie wiem. Widziałem kilka zdjęć Shemara Carzona i rzeczywiście wyglądał trochę na bandziora. Chyba myślałem, że nie muszę przejmować się tego rodzaju rzeczami, bo na jego tle nie prezentuję się „groźnie”, wiesz? Nie spuszcza spodni do kolan, nie noszę trzy rozmiary za dużych ciuchów. Chodzę do dobrej szkoły, mam cele, wizję oraz „tęgą głowę”, jak lubi powtarzać mama.

Pewnie, dorastałem w niebezpiecznej dzielnicy, ale wiem, że jestem porządnym facetem, Martinie. Myślałem sobie, że jeśli postaram się być uczciwym członkiem społeczeństwa, to rzeczy, z którymi muszą borykać się TAMCI czarni, będą mnie omijały. Wiesz, co mam na myśli? Naprawdę niełatwo pogodzić się z tym, że byłem w błędzie.

Teraz bez przerwy nachodzi mnie pytanie: „Jak potoczyłaby się ta sprawa, gdybym nie był czarny?”. Wiem, że gliniarz zareagował na podstawie tego, co zobaczył (a prawdopodobnie mógł wyciągnąć pochopne wnioski), niemniej jeszcze nigdy nie zostałem wystawiony na taką próbę charakteru.

Miniona noc mnie odmieniła. Nie chcę łązić dookoła wkurzony i szukać dziury w całym, ale wiem, że nie mogę dłużej udawać, że wszystko jest okej. Minęły czasy osobnych kraników z wodą dla „kolorowych”, a dyskryminacja jest ponoć bezprawna, lecz skoro ktoś może zmusić mnie do siedzenia na betonie w za ciasnych kajdankach, pomimo że nie zrobiłem nic złego, to najwidoczniej jednak coś jest na rzeczy. Ta równość, o której wszyscy mówią, wcale nie obowiązuje.

Muszę zwracać na to baczniejszą uwagę, Martinie. Zacząć naprawdę dostrzegać pewne rzeczy i je opisywać. Wymyślić, co z tym zrobić. Właśnie dlatego do Ciebie piszę. Ty musiałeś mierzyć się z o wiele poważniejszymi gów... to znaczy problemami niż kilka godzin w kajdanach, ale nie złożyłeś broni... Choć tak naprawdę jej nie używałeś.

Chcę spróbować żyć tak jak ty. Postępować jak ty. Zobaczyć, co tym sposobem osiągnę.

Bolą mnie nadgarstki, więc w tym miejscu zakończę, ale dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

Z wyrazami szacunku
Justyce McAllister

ROZDZIAŁ 2

Justyce opada ciężko na skórzaną sofę w piwnicy Manny'ego i łapie w dłoń leżącego na wielkim podnóżku pada do konsoli.

– W porządku, stary? – pyta Manny, z zapamiętaniem wciskając guziki na swoim wibrującym kontrolerze. Pomieszczenie wypełniają lecące z drogich głośników odgłosy serii karabinów maszynowych, które brutalnie przebijają się przez bębny Justyce'a i dudnią w jego głowie; czuje, jak pulsują mu w piersi: BANGBANGBANGBANGBANGBANGBANGBANGBANGBANGBANG!

Przełyka ślinę.

– Tak, w porządku.

– To co, grasz czy nie?

Awatar Manny'ego w zawrotnym tempie zmienia oręż i wali we wroga wszystkim, co posiada w arsenale.

Granat: BUUUM.

Glock 26: POP POP POP.

Miotacz ognia: FSSSSZZZZUUUU.

Bazuka: FUUUP... BUUUM.

Tak wiele broni. Takich jak ta, którą funkcjonariusz Castillo trzymał w ręce, gdy wziął Jusa za kryminalistę. Jeden fałszywy ruch i mógł skończyć jak Shemar Carson.

Wzrusza ramionami.

– Ej, może zagrabilibyśmy w coś mniej... brutalnego.

Manny pauzuje i obraca się do najlepszego przyjaciela.

– Przepraszam. – Justyce zwiesza głowę. – Nie najlepiej działają na mnie teraz odgłosy wystrzałów.

Manny wyciąga rękę i pokrzepiająco klepie Jusa po barku, po czym wciska kilka guzików i zmienia grę. Na najnowszego *Maddena*. W sklepach ma pojawić się dopiero za ponad tydzień.

Jus kręci głową. Jego przyjaciel to ma życie. Pewnie fajnie być synem wiceprezesa wielkiej korporacji finansowej.

Chłopaki wybrali drużyny. Manny wygrywa rzut moneta, postanawia zacząć od ataku. Odchrząkuje i pyta:

– Chcesz o tym pogadać?

Justyce ciężko wzdycha.

– Bo wiesz, jeśli tak... to możesz na mnie *liczyć*, wiesz o tym, nie? – pyta Manny.

– Tak, wiem. Doceniam to. Ale w sumie nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Manny kiwa głową. Omija obrońcę Jusa i zalicza pierwsze dziesięć jardów.

– Nadgarstki dalej bołą?

Justyce powstrzymuje się przed spojrzeniem na rękę. Przez głęboko brązowy kolor jego skóry trudno dostrzec siniaki, ale te nadal tam są, mimo że upłynął już tydzień.

Momentami obawia się, że nigdy nie znikną.

– Tak, w porządku. Mel dała mi ten dziwny norweski krem. Śmierdzi jak mieszanka miętówek i brudnych stóp, ale działa. – Rozgrywający Manny'ego wykonuje dalekie podanie, ale piłka nie dociera do celu. Przechwyty zawodnika Jusa. – Zeszliśmy się wczoraj wieczorem.

Manny wciska pauzę. Obraca się do kumpla.

– Żartujesz, stary.

Justyce wyciąga dłoń i naciska „trójkąt” na padzie Manny'ego. Jego rozgrywający podaje piłkę biegaczowi, które-

go nikt nie pilnuje, bo Manny zamiast grać mrozi wzrokiem przyjaciela. Wirtualny futbolista gna przed siebie i zalicza dziecinnie łatwe przyłożenie.

Celny wykop podbija wynik.

Manny znowu pauzuje.

– Jus.

– Odpuść, stary.

– Mam odpuścić? To przez tę szmatę *trzy godziny* siedziałeś w kajdankach, a teraz chcesz, żebym odpuścił?

– Nie nazywaj tak mojej dziewczyny, Manny.

– Bracie, przyłapałeś ją z rękami w gaciach innego faceta. Zapomniałeś już?

– Teraz będzie inaczej. – Justyce ponownie odpauzował grę.

Jego ekipa zaczyna od wykopu, ale gracze drużyny przeciwnej nie reagują, bo Manny nadal gapi się na Jusa, jak gdyby ten właśnie przyznał się do morderstwa.

– Zaczekaj – mówi, znowu zatrzymuje grę i odsuwa kontroler poza zasięg Jusa. – Czyli chcesz mi powiedzieć, że po tym, jak ta dziewczyna siedziała tam beczynnienie i *przyglądała się*, jak dostajesz wciry od glin...

– Bała się, stary.

– Niewiarygodne, Jus.

– Nieważne.

Justyce wpatruje się w piłkę, która zamarła w powietrzu na samym środku ogromnego telewizora LCD. Dziewczyny nie uganiają się za Jusem tak jak za Emmanuelem „Mannym” Riversem, kapitanem drużyny koszykarskiej Bras Prep i jednym z najprzystojniejszych chłopaków, jakich Jus poznał. Manny posiada wiele rzeczy, których jemu brakuje – dwoje rodziców zarabiających setki tysięcy rocznie, wielki pokój w piwnicy, świetny samochód, niezachwianą pewność siebie...

A co takiego ma Justyce? Najgorętszą laskę w całej szkole.

– Nie oczekuję, że to zrozumiesz, Manny. Zmieniasz dziewczyny jak rękawiczki. Nie poznałbyś prawdziwej miłości, nawet gdyby zasadziła ci kopa w jaja.

– Po pierwsze, prawdziwa miłość *nie kopnęłaby* mnie w jaja. Biorąc za to pod uwagę, ile razy, w przenośni, Melo skopała twoje...

– Zamknij się.

Manny kręci głową.

– Przykro mi, że muszę ci to uświadamiać, ziomuś, ale twoja relacja z Melo jest megatoksyczna...

– Brzmisz jak dziewczyna.

– Znasz psychologa mojej mamy – kontynuuje niezrażony Manny. – Masz syndrom współzależnienia albo coś takiego. Powinieneś to zbadać.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Wcale nie żartuję, Jus. Nie mogę na ciebie patrzeć. Co ty wyrabiasz? O co chodzi z tymi wiecznymi powrotami do Melo? Jesteś chory, przyjacielu.

– Zamknij się i grajmy, do cholery.

W tym momencie na schodach ukazuje się mama Manny'ego.

– Dzień dobry, pani Rivers – mówi Jus, wstaje i przytula ją na powitanie.

– Cześć, malarzki. Wszystko w porządku?

– Tak, proszę pani.

– Zostajesz na noc? Zaraz będzie kolacja. Kurczak cacciatore. – Puszcz mu oczko.

– Och, wie pani, że nie ma nic pyszniejszego – odpowiada Jus.

– Kurde, mam, czemu zawsze nie gotujesz *moich* ulubionych rzeczy?

- *Nigdy* nie gotujesz. I cichutko bądź.
- Nie dziw się, że twoja mama woli mnie od ciebie.
- Zamknij się, palancie.

Dzwoni komórka pani Rivers.

- Tiffany Rivers – mówi, odbierając i nie przestając uśmiechać się do chłopców.

Ale uśmiech szybko znika. Po wyrazie jej twarzy od razu widać, że ktokolwiek jest na linii, przynosi złe wieści.

Kończy i łapie się za serce.

- Mamo?! Co się stało?!

- Dzwoniła ciotka – odpowiada. – Twój kuzyn został aresztowany.

Manny przewraca oczami.

- Co tym razem?

Doktor Rivers spogląda to na Manny'ego, to na Justyce'a.

- Został oskarżony o morderstwo – obwieszcza.

Manny'emu opada szczęka.

- Ponoć zabił policjanta.

ROZDZIAŁ 3

Wchodząc na wtorkową lekcję ewolucji społecznej, Justyce ma głowę pełną różnych myśli. Po pierwsze, wczoraj wielka ława przysięgłych oddaliła oskarżenia przeciwko gliniarzowi, który zastrzelił Shemara Carsona. Od czasu własnego zatrzymania Jus poświęcał cały wolny czas na śledzenie tej sprawy, a teraz... po prostu dobiegła końca.

A skora mowa o glinach i aresztowaniach: również wczoraj dowiedział się, że policjantem, do którego zabicia przyznał się kuzyn Manny'ego, był nie kto inny jak Tomás Castillo.

Jusowi nie mieści się w głowie, że *zna* kuzyna Manny'ego. Nazywa się Quan Banks i mieszka w tej samej dzielnicy co mama. Jest rok młodszy od Justyce'a, a w czasach, gdy liczyło się tylko przebywanie od rana do wieczora poza domem, bawili się razem na podwórku. W trzeciej klasie Quan, podobnie jak Jus, zdawał do programu przyspieszonego nauczania, ale po podstawówce zaczął obracać się w „niewłaściwym towarzystwie”. Kiedy dowiedział się, że Jus idzie do Bras Prep, wspomniał, że ma tam kuzyna, ale Jus wcześniej nie skojarzył go z Mannym. A teraz właśnie on siedzi za kratkami.

Justyce nie potrafi przestać o tym myśleć.

Pewnie, Castillo był dupkiem, ale czy naprawdę zasłużył na śmierć? A co z Quanem? Co, jeżeli dostanie karę śmierci?

Z drugiej strony, co, gdyby Castillo zabił wtedy Jusa? Czy w ogóle stanąby przed sądem?

– Jus, podejdź tu na chwilę – prosi Doktorek, gdy Justyce rzuca plecak obok swojego krzesła.

Dr Jarius „Doktorek” Dray jest doradcą zespołu dyskusyjnego i ulubionym nauczycielem Jusa. To jedyny znany mu (na wpuł) czarny facet z doktoratem i Jus jest w niego zapatrzony.

– Jak sobie radzisz, stary? – pyta.

– Bywało lepiej.

Doktorek kiwa głową i mruży zielone oczy.

– Widzę właśnie – mówi. – Chcę tylko cię ostrzec, że dzisiejsza dyskusja może uderzyć w drażliwe tony. Nie musisz w niej uczestniczyć, a jeśli będziesz chciał, możesz w każdej chwili opuścić zajęcia.

– W porządku.

W tym momencie do sali wkracza Manny, a tuż za nim Jared Christensen. Justyce nie przepada za Jaredem – zresztą jak i za wszystkimi przyjaciółmi Manny’ego – ale wie, że trzymają się razem od przedszkola, tłumy więc antypatię.

– Jak leci, Doktorku? – szczebiocze Jared, zmierzając do swojej ławki.

– Na miłość boską, Jared. *Siadajże* i się uspokój.

Słowa te wypowiada Sarah-Jane Friedman. Kapitanka drużyny lacrosse, uczennica wyznaczona do wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły, a od drugiego roku partnerka dyskusyjna Justyce’a.

– Och, SJ, ja też cię kocham – ripostuje Jared.

SJ rzuca mu nieprzychylnie spojrzenie i zbliżając się do krzesła po lewej ręce Justyce’a, wykonuje palcem gest symbolizujący odruch wymiotny, czym go rozśmiesza.

Salę powoli zapełnia reszta uczniów. Rozlega się dźwięk dzwonka, Doktorek zamyka drzwi klasy i klaszcze, zaczynając lekcję:

Doktorek: Witajcie, moi drodzy.

Klasa: [*Mruknięcia, skinięcia głową i wiercenie się na krzesłach*].

Doktorek: Możemy zaczynać? Temat dzisiejszej dyskusji...

[*Naciska kilka klawiszy laptopa i na cyfrowej tablicy ukazują się słowa: „Wszyscy ludzie stworzeni są równymi”*].

Doktorek: Kto wie, skąd pochodzi ten cytat?

Jared: Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych, podpisana czwartego lipca 1776 roku. [*Uśmiecha się z samozadowoleniem i splata ręce na piersi*].

Doktorek: Poprawnie, panie Christensen. Dwanaście z trzy-nastu kolonii zagłosowało za zerwaniem wszelkich więzi z brytyjską koroną. Dokument, znany jako deklaracja niepodległości, nabrał mocy prawnej, a to, co widzicie na tablicy, to po dziś dzień jeden z jego najczęściej przywoływanych fragmentów.

Wszyscy: [*Kiwają głowami*].

Doktorek: Jednak gdy nasze XXI-wieczne rozumy analizują ten cytat w jego historycznym kontekście, coś zaczyna nam nie pasować. Kto wie, co mam na myśli?

Wszyscy: [*Jak makiem zasiał*].

Doktorek: No dajcie spokój. Nie widzicie niczego dziwnego w tym, że akurat ci goście wydali oświadczenie na temat przyrodzonej wszystkim ludziom „równości”?

SJ: No cóż, to ci sami faceci, którzy wybili rdzenną ludność i posiadali niewolników.

Doktorek: W rzeczy samej, nie inni.

Jared: Ale to były inne czasy. Ani niewolnicy, ani Indianie...

Justyce: Jeżeli nie znasz nazwy konkretnego plemienia, to mówisz rdzenni Amerykanie albo Indianie amerykańscy, ziomuś.

Jared: Nieważne. Chodzi o to, że ani ci, ani ci nie byli wtedy uważani za „ludzi”.

Doktorek: Dokładnie do tego zmierzam, panie Christensen. A zatem pytanie brzmi: Co takiego oczywista zmiana w interpretowaniu tego fragmentu pomiędzy rokiem 1776 a dniem dzisiejszym mówi nam o ewolucji naszego społeczeństwa?

[Dłuższa pauza, gdyż dopisuje postawione pytanie pod cytatem na cyfrowej tablicy, następnie zgrzytanie krzesła, kiedy to zajmuje swoje stałe miejsce w kręgu uczniów].

Jared: No zdanie to obejmuje już ludzi o afrykańskich korzeniach. Stali się więc „rdzennymi amerykańskimi Indianami”.

Justyce: *[Zaciska zęby]*.

Jared: I kobiety! Pierwotnie były wykluczone, ale teraz i one mają więcej równości.

SJ: *[Prycha]*. Nadal za mało.

Doktorek: Proszę to rozwinąć, panno Friedman.

SJ: To proste, kobiety nadal nie są traktowane na równi z mężczyznami. Zwłaszcza przez mężczyzn.

Jared: *[Przewraca oczami]*.

Doktorek: Okej, czyli prawa kobiet. Czy są jakieś inne obszary, na których według was nadal nie osiągnęliśmy pełnej równości?

Wszyscy: [...]

Doktorek: Nie wzdbraniajcie się przed sięganiem do bieżących wydarzeń.

SJ: Byłby pan fatalnym prawnikiem, Doktoru.

Wszyscy: *[Nerwowe parsknięcia]*.

Doktorek: *Wiem*, że wszyscy wiecie, do czego zmierzam.

Manny: Chyba wiemy... Ale naprawdę chce pan to drażnić?

Doktorek: Przecież ta szkoła szczyli się otwartością. Słucham więc.

Wszyscy: [...]

Doktorek: Zatem nie będę owijał w bawełnę: Czy uważacie, że osiągnęliśmy pełną „równość”, gdy mowa o rasie?

Wszyscy: [...]

Doktorek: No dajcież spokój. Jesteśmy w bezpiecznej przestrzeni. Nic, co tu powiecie, nie wypłynie poza tę salę.

Jared: Okej, spróbuję. Według mnie: tak, *osiągnęliśmy* pełną równość, gdy mowa o rasie.

Doktorek: Rozwiń tę myśl, proszę.

Jared: Cóż, każdy, kto się tu urodził, jest obywatelem z pełnią praw. Niektórzy ludzi twierdzą, że pewne „krzywdy” mają podłoże rasowe, ale moim zdaniem tylko kreują w ten sposób podziały.

Justyce: [*Bierze głęboki wdech i pociera nadgarstki*].

Jared: Ameryka nie zważa już na kolor skóry.

SJ: Nie dziwne, że *ty* tak uważasz.

Manny: O rany...

SJ: Nie przestaje mnie zadziwiać, że koleś twojego pokroju noszą głowy tak wysoko nad swoimi uprzywilejowanymi tyłkami...

Doktorek: Sarah-Jane.

SJ: Przepraszam. Chodzi mi o to, że kompletnie nie zauważają problemów ludzi żyjących poza ich wąziutką grupą społeczną.

Jared: Jak uważasz, SJ.

SJ: Mówię poważnie. A co z nierównościami ekonomicznymi? Co z faktem, że proporcjonalnie rzecz biorąc, w ubóstwie żyje znacznie więcej kolorowych niż białych? Przeszło ci to w ogóle *przez myśl*?

Jared: Stara, Manny wozi się range roverem.

Manny: A co to ma do rzeczy?

Jared: Bez urazy. Mówię tylko, że twoi rodzice zarabiają o wiele więcej niż moi.

Manny: Okej. Ale oboje naprawdę ciężko pracowali, żeby wspiąć się tam, gdzie są...

Jared: Nie mówię, że nie. Ale właśnie udowodniłeś, że mam rację. W naszym kraju czarni mają takie same szanse jak biali, jeżeli tylko chcą ciężko pracować. Rodzice Manny'ego to idealny przykład.

SJ: Poważnie? Naprawdę uważasz, że jeden przykład dowodzi równości? A Justyce? Jego mama haruje po sześćdziesiąt godzin tygodniowo, a nie zarabia nawet *jednej dziesiątej* tego, co twój tata...

Justyce: Ej, spokojnie...

SJ: Przepraszam, Jus. Chcę tylko powiedzieć, że rodzice Manny'ego to wyjątek. Nie zauważyliście, że w szkole jest tylko ośmioro czarnych dzieciaków?

Jared: Cóż, może gdyby więcej osób postępowało tak jak rodzice Manny'ego, to sytuacja wyglądałaby inaczej.

Justyce: [*Bierze kolejny głęboki wdech*].

SJ: Okej... Czyli sugerujesz, że ludzie po prostu muszą zakaśać rękawy?

Jared: Dokładnie.

SJ: Żeby to zrobić, najpierw musi być ich stać na koszule.

Manny: Bum! Punkt dla SJ.

Jared: Jak tam chcesz. Widuję ludzi na zasiłku chodzących w oryginalnych air jordanach, więc skądś mają pieniądze na drogie buty. I nie wywyższaj się tak, SJ. Twoi przodkowie posiadali niewolników tak samo jak moi.

SJ: Mylisz się, baranie...

Doktorek: Panno Friedman...

SJ: Przepraszam. Chcę tylko powiedzieć, że moi pradziadkowie przyjechali tu z Polski, ledwie unikając wywózki do Chełmna...

Jared: *Czego?*

SJ: Nazistowskiego obozu zagłady. A ty właśnie ponownie udowodniłeś, że mam rację. Nie emanowałbyś taką ignorancją, gdyby chciało ci się spojrzeć poza osiemnasty dołek twojego klubu golfowego.

Doktorek: Nie przesadzaj, SJ.

Jared: Dla twojej wiadomości, rodzice Manny'ego są członkami klubu dłuższej niż moi.

Manny: Ej!

Jared: Tylko mówię.

SJ: Boże. Z ludźmi takimi jak ty u władzy ten kraj popadnie w ruinę, Jared.

Justyce: [*Chichocze*].

Jared: W każdym razie, dla wiadomości nieznających amerykańskiej konstytucji, dzięki czternastej poprawce każdy człowiek w tym kraju posiada prawo do życia, wolności, dążenia do szczęścia...

SJ: Pieprzenie.

Doktorek: SJ!

Justyce: Musisz wrzucić na luz, S.

SJ: Mówisz poważnie?

Justyce: Tak, mówię poważnie.

SJ: Kto jak kto, ale *ty* wiesz, że mam rację, Jus...

Justyce: Nie wciągaj mnie w to.

SJ: Jak chcesz. Przechodząc do sedna, fakty są takie, że minęły ponad dwa wieki, ale Afroamerykanie *nadal* są nieuczciwie traktowani.

Jared: Uważaj, bo jeszcze ktoś ci uwierzy.

SJ: Na miłość boską, czy ty *w ogóle* oglądasz wiadomości? Mówi ci coś nazwisko Shemar Carson?

Jared: Oho, zaczyna się. Nie każdy biały, który zabił czarnego, dopuścił się strasznej zbrodni. Sąd chyba wczoraj tego dowiódł, prawda?

SJ: Jedyne, czego sąd wczoraj „dowiódł”, to fakt, że biały facet może bezkarnie zabić bezbronного nastolatka, o ile tylko dzieciak jest czarny.

Doktorek: To snucie domysłów, stać cię na więcej, SJ. W tej sprawie nie możecie dać ponieść się emocjom.

Jared: Stara, ten dzieciak zaatakował policjanta i próbował odebrać mu splotwę. *A poza tym* był wcześniej notowany.

Justyce: Czeka, czeka, stary. *Rzekomo* zaatakował. Nie ma żadnych świadków...

Jared: Myślałem, że nie chcesz się wtrącać.

Doktorek: Proszę uważać, panie Christensen.

Jared: Przecież sam tak powiedział.

Justyce: [Zgrzyta zębami].

SJ: Może gdybyś naprawdę śledził tę sprawę, a nie czerpał informacje z mediów społecznościowych, to...

Jared: Nie zmienia to faktu, że koleś był już wcześniej aresztowany. Nikogo nie zatrzymują za niewinność. Wniosek – był przestępcą.

SJ: Zarzut odnotowany w jego aktach – które są publicznie dostępne, więc można je sprawdzić – to tylko wykroczenie, posiadanie marihuany.

Jared: No i? Za przestępstwo należy się kara.

SJ: Jared, dwa dni temu sam kupiłeś *trzydzieści* gramów zioła...

Doktorek: Prosisz się o naganą, SJ.

SJ: Ale widziałam to na własne oczy!

Jared: To moja sprawa, co robię z własnymi pieniędzmi.

Justyce: [*Parska*]. Oczywiście. Ale Shemara Carsona to już nie dotyczy, co?

Doktorek: Lepiej wróćcie do tematu, zanim ktoś będzie musiał za karę zostać po lekcjach.

SJ: Chodzi mi o to, że *widziałam*, jak popełniasz to samo przestępstwo, które odnotowano w aktach Shemara Carsona.

Jared: Mów, co chcesz, SJ.

SJ: Wiem, że wolałbyś ignorować takie sytuacje, bo na tym korzystasz, ale udawanie, że nierówności nie istnieją, nie sprawi, że znikną, Jared. Gdybyście z Mannym, a jesteście równi w niemal wszystkim z wyjątkiem rasy, popełnili to samo przestępstwo, to jest niemal pewne, że jego spotkałaby surowsza kara.

Manny: Dlaczego wszyscy bez przerwy mnie w to wciągają?

Jared: Dlatego że jesteś czarny, brachu.

Wszyscy: [*Chichoczą*].

SJ: Liczby nie kłamią.

Justyce: [*Ponownie pociera nadgarstki*].

Jared: Tak, tak, kumamy. Twoja mama jest prawniczką, grubą rybą. Masz dostęp do *wszyyyystkich* faktów.

SJ: Wygłupiaj się, ile chcesz, ale nie zaprzeczysz, że wywinąłbyś się od wykroczeń, które Manny'emu nie uszłyby na sucho.

Manny: Przysięgam, że zaraz zmienię imię.

Jared: Może dlatego, że nie jestem taki głupi, by dać się złapać?

Justyce: Nieźle.

SJ: Wywinąłbyś się dlatego, że jesteś biały, dupku.

Doktorek: Sarah-Jane!

Jared: Patrzyłaś ostatnio w lustro, SJ? Nie widzę, żebyś była ciemniejsza ode mnie.

SJ: Owszem. I dostrzegam, ile przynosi mi to korzyści.

Jared: Czyżby? Bo – na moje oko – po prostu włączasz się do nagonki na białych.

Justyce: [*Strzela nymkami i kręci głową*].

SJ: Gadaj sobie, ile chcesz, Jared. Prawda jest taka, że nikt nie zakłada, że jesteśmy niebezpieczni na sam widok koloru naszej skóry.

Wszyscy: [...]

SJ: Nas zawsze uważa się najpierw za ludzi, a ewentualnie dopiero później za przestępców.

Wszyscy: [...]

Justyce: Idę do łazienki. [*Wstaje i wychodzi*].